

Tresura żywego towaru

14 września 2008

Jezuickie Dzieło Pomocy Dzieciom nie lubi tych, którzy zadają zbyt wiele pytań, za to kocha cudzoziemców.

Dorota i Henryk Świerkowie mieszkają w Michałowicach pod Krakowem. Mają przytulny dom z ogrodem, trzy koty i jamnika udającego psa. Po domu biega dwoje roześmianych dzieci – chłopiec i dziewczynka. Nie trzeba być psychologiem, by dostrzec, że wszyscy dobrze się tu czują.

Wcześniej dzieciaki mieszkały w Państwowym Domu Dziecka w Sieborowicach. Zostały adoptowane pół roku temu. Jeszcze wcześniej Świerkowie zostali jednak uznani za niegodnych adoptowania jakiegokolwiek dziecka.

CIEKAWSY NA DYWANIK

We wrześniu 2003 r. Świerkowie złożyli papiery w Ośrodku Adopcyjno-Opiekuńczym jezuickiej fundacji Dzieło Pomocy Dzieciom (patrz „NIE” nr 51–52/2005 i nr 2/2006). Placówka mieści się przy ul. Rajskiej, blisko Politechniki Krakowskiej, gdzie Dorota i Henryk pracują. Wywiad środowiskowy wypadł świetnie. Spotkanie z psychologiem – również. Świerkowie dostarczyli stertę wymaganych dokumentów, w tym wyciąg z parafialnej księgi ślubów i opinię duszpasterza. Dzieci mogą bowiem – zdaniem Dzieła – wychowywać tylko przykładni katolicy.

Dziś, znając już i inne domy dziecka, dziwią się, jak personelowi Dzieła udało się wymusić taką dyscyplinę, taką nienaturalną, klasztorną ciszę. Wtedy jednak posłusznie przyjęli obowiązujące na Rajskiej reguły gry. Ani kandydaci na rodziców, ani tym bardziej dzieci nie mieli nic do gadania. Personel arbitralnie decydował, kto z kim posiedzi w świetlicy, pójdzie na spacer, spędzi święta. Przyszłym rodzicom wciskano wszystkich podopiecznych po kolei, na

krótko, żeby nie zdążyli ich lepiej poznać. Nie wolno było zainteresować się konkretnym dzieckiem.

– Było tam rodzeństwo Natałka i Daniel, którzy przypadli nam do serca. Nie mogliśmy się dowiedzieć, czy są zakwalifikowani do adopcji. Wychowawcy nie odpowiadali na nasze pytania. Każda taka rozmowa kończyła się wezwaniem nas na dywanik u pani psycholog czy pani pedagog – opowiadają Świerkowie.

CUDZOZIEMCY PŁACĄ

Kandydaci mieli wykonywać polecenia i czekać na decyzje, a nie zgłaszać własne życzenia. Zwłaszcza dotyczące Natałki i Daniela, najwyraźniej zarezerwowanych dla kogoś lepszego. I rzeczywiście: przyjechało po nich włoskie małżeństwo. Szybko i sprawnie załatwiono formalności adopcyjne. Potem pojawiła się Francuzka, podobno polskiego pochodzenia, i wzięła jedną z dziewczynek. Dyrektor Maderowa nie ukrywała, że jeśli udaje się adopcja zagraniczna, szczęśliwi rodzice sponsorują Dzieło. Czy to podziwu godna dobroczynność, czy płacenie za dziecko? Świerkowie słyszeli też o wyjazdach – nie wiadomo, na czyj koszt – pań z fundacji do krajów, do których trafiają dzieci.

W ośrodku wszystko było pod kontrolą. Każdy spacer czy wizyta u „wujka” i „cioci” kończyły się regularnym przesłuchaniem. Świerk był wkurzony, że każą im w kółko spacerować wokół rynku. Pewnej niedzieli zabrali trójkę dzieci do Ikei, a potem do domu na obiad. Poprosili dzieciaki, żeby się tym nie chwaliły. Jednak wszystko się wydało, a pobożny personel zrobił z tego straszną aferę: oto dorosły uczy niewinną dziatwę kłamstwa.

– Czy pan pije? – wypytywała Henryka Świerka psycholog Małgorzata Michalak.

– Nie.

– Jak to nie?

- Normalnie, nie piję. To niemożliwe. Pracuję jako kierowca.
- Naprawdę nigdy pan nie pije?
- Jak mam wolne, mogę się napić piwa. Wystarczy to pani?!

JEZUICKIE METODY

Dyrektor Maderowa poddała zachowanie kandydatów miażdżącej krytyce. Świerkowie szczerze chcieli się poprawić, lecz jak na złość „przykleiła się” do nich 9-letnia Andżela. Kiedy dziewczynka, krzycząc radośnie „wujek!”, wskakiwała Świerkowi na kolana i targała mu czuprynę, zaraz ktoś z personelu kładł kres tej niestosownej poufałości.

Próba ogniową dla kandydatów miało być pięć weekendów na Rajskiej albo w innym ośrodku Dzieła, w Żmiącej k. Limanowej. Pobytu w Żmiącej Świerkowie nigdy nie zapomną. Trafili tam razem z kilkoma innymi małżeństwami, ale nie mogli swobodnie z nimi pogadać. Byli pod ciągłą obserwacją – jak w „Big Brotherze”. Gdy grali w karty z dziewczynkami w świetlicy, znienacka wpadła wychowawczyni pokrzykując: „Rozbierać się, ale już! Do mycia marsz!”. Zdumieni Świerkowie wyszli. Innym razem Andżela wpakowała się „wujkowi” na kolana i obejrzała jego przedramię: „Ty masz taką białą skórę, a ja taką ciemną, opaliłam się, widzisz?”. Tę scenę też ktoś obserwował.

Finał rozegrał się na mszy w kaplicy. Andżela swoim zwyczajem wskoczyła Świerkowi na kolana. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż każdy dorosły trzymał jakieś dziecko.

– Nagle uchyla się zasłona, wchodzi Michałakowa. Jak mnie zobaczyła z Andżelą, mało nie zemdląła – opowiada Henryk Świerk.

PEDOFIL ZDEMASKOWANY

Wkrótce wezwano Świerków przed oblicze trybunału złożonego z dyrektor Maderowej i kilku jej podwładnych.

– Były dziwne, dwuznaczne sytuacje w pana kontaktach z Andżelą
– oświadczyły jezuickie specjalistki.

– Rany boskie, o co wy mnie posądzacie? Dziecko, które nie ma rodziców, nie może się do nikogo przytulić? To zbrodnia, że się je weźmie na kolana, w czółko pocałuje?

– Było jeszcze porównywanie rąk, białej i opalonej. To mogła być prowokacja.

– Czyja?!

– Poza tym pan się przygląda, jak dziewczynki się rozbierają.

Henryk Świerk z trudem uprzytomnił sobie, że doniosła na niego wychowawczyni, która kazała małodatom zrobić striptiz w świetlicy. Czy ktoś jej kazał wrobić go w podglądactwo, w pedofilię?

– Co wy sugerujecie? Że jestem zboczeńcem?! – wrzasnął.

– Wszystko na to wskazuje.

Nie czekając, aż go wyrzucą, Świerk wyszedł z buntowniczym okrzykiem, że są jeszcze sieroty na Ukrainie. Małgorzata Michalak zapytała jego żonę, jak mogła mieszkać z kimś takim pod jednym dachem.

– Jak pani sobie wyobraża adopcję dziewczynki? To by mogło doprowadzić do rozpadu waszego małżeństwa!

Dorota niedokładnie zrozumiała dalsze przestrogi: Andżela weszłaby Henrykowi do łóżka czy odwrotnie, on by ją tam wciągnął. „Wtedy musiałaby się pani rozwieść z mężem!” – zapowiedziała stanowczo Michalak.

W PAPIERACH GRA

Dorota Świerk, szczęśliwa mężatka od 18 lat, do dziś żałuje, że nie powiedziała Małgorzacie Michalak, co myśli o jej kwalifikacjach zawodowych i o niej samej.

Dzieło Pomocy Dzieciom kosztowało ich prawie rok bezcelowych podróży, sporo kasy (płacili stówę za każdą wizytę) i jeszcze więcej stresów. Maderowa straszyła, że zdyskwalifikowani przez nią kandydaci nie mają po co zgłaszać się do innego ośrodka adopcyjnego, bo tamci poproszą Dzieło o opinię. Mimo to Świerkowie zwrócili się do innego ośrodka – i znaleźli się w innym świecie.

Znów przeszli wywiad środowiskowy i badania psychologiczne. Z jak najlepszym rezultatem. W domu dziecka w Sieborowicach od razu pokazano im dyskretnie dzieci przeznaczone do adopcji. Mogli się z nimi swobodnie spotykać. Dziś mają rodzinę, o jakiej marzyli.

Wcześniejsze przeżycia wciąż ich jednak gryzły, zwrócili się więc do krakowskiego inspektora ds. domów dziecka, którym była wtedy Renata Murawska. Okazało się, że do pani inspektor już wcześniej docierały skargi na działalność jezuickiej placówki: terroryzowanie dzieci i dorosłych, wmawianie ludziom pedofilii. Wysłano nawet na Rajską kontrolę. Wykazała ona, że papiery są w porządku.

ŻYWY TOWAR?

Zadaliśmy Dziełu Pomocy Dzieciom kilka dość istotnych pytań. Dzieło nie raczyło odpowiedzieć, wobec czego sami musimy wyciągnąć wnioski z tej historii.

1. Kobiety kierujące jezuicką fundacją nadużywają władzy wynikającej z dysponowania dziećmi. Pozwalają sobie na całkowicie bezkarne pomawianie ludzi o złe skłonności, molestowanie dzieci, pedofilię. Nie muszą tego udowadniać, bo nie są to sprawy dla policji i prokuratury. Chodzi tylko o pretekst do pozbycia się osób nie dość pokornych, zbyt dociekliwych, nieskłonnych do sponsorowania ośrodka itd.

2. Opisany proceder czyni fikcję z przepisów z adopcji zagranicznej. Pozwalają one adoptować obcokrajowcom tylko te dzieci, dla których nie znaleziono rodziny w Polsce (z reguły

chore, niepełnosprawne, opóźnione w rozwoju, „za stare” lub rodzeństwa, których nie powinno się rozdzielać). Trzy uprawnione do tego placówki (Krajowy Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy TPD, Publiczny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy i Katolicki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy w Warszawie) prowadzą rejestr dzieci zakwalifikowanych do adopcji zagranicznej, zgłaszanych przez domy dziecka z całego kraju. Tymczasem Dzieło bez przeszkód wysyła za granicę dzieciaki, o które porządne polskie rodziny ubiegają się długie miesiące. Każdą taką rodzinę można o coś oskarżyć, wykopać za bramę ośrodka, wpisać małodłatowi w papiery, że niestety w kraju nikt go nie chciał – i wyeksportować jak cielaka.

Autor: Dorota Zielińska

Źródło: [Tygodnik „NIE”](#)